

Emil

KRYSTYNA BARCHAŃSKA

Relacja Krystyny Barchańskiej dotarła do nas za pośrednictwem Izabeli Górnickiej-Zdziech, która przygotowała tekst w 2003 roku. Próbowaliśmy wtedy skontaktować się z rodziną i znajomymi Emila Barchańskiego, szukaliśmy dokumentów w Instytucie Pamięci Narodowej — bezskutecznie. Dzisiaj, 25 lat od Jego śmierci, wracamy do tej nie publikowanej dotąd opowieści — teraz nieco pełniejszej. Dzięki pomocy Krystyny Barchańskiej, Haliny Katarzyńskiej, Ligii Urniaż-Grabowskiej i Tomasza Sokolewicza mogliśmy uściślić niektóre jej elementy. (Red.)

W 1980 roku byłam młodą matką. Miałam 36 lat, a mój syn Emil dopiero 15. W sierpniu 1980 całą rodziną pojechaliśmy na wakacje na Wybrzeże. Tam pierwszy raz usłyszeliśmy, że coś się dzieje w Stoczni Gdańskiej, a po powrocie do Warszawy dowiedzieliśmy się z telewizji o podpisaniu Porozumień.

W roku szkolnym 1980/81 Emil rozpoczął naukę w XI Liceum Ogólnokształcącym im. Mikołaja Reja w Warszawie. Ku mojemu zaskoczeniu, prezentował bardzo radykalną postawę ideową. Mówił, że nie akceptuje ustroju fałszywego socjalizmu. W rozmowach z synem jesienią 1981 zorientowałam się, że jest pod wpływem swojej szkolnej wychowawczynie, polonistki Zofii Bujalskiej, która była aktywną działaczką nauczycielskiej „Solidarności”. Syn przynosił ze szkoły wiele informacji na temat nowo powstałego Związku. Czasami wiedział więcej ode mnie i od męża, chociaż my też mieliśmy kontakt z ludźmi zaangażowanymi w działalność opozycyjną.

Emil nagle stał się w pełni zaangażowanym politycznie młodym człowiekiem. Miał już wśród swoich znajomych i przyjaciół takich, z którymi spotykał się wyłącznie w celu dyskusowania o sytuacji w kraju. Późną jesienią 1981 razem z kolegami ze szkoły — między innymi z Leszkiem Czajkowskim, utalentowanym klasowym poetą i satyrykiem — założyli kabaret „Wywrotowiec” oraz zaczęli redagować pismo satyryczno-polityczne „Kabel”.

Obserwowałam to wszystko z nieustającym zdziwieniem, a nawet zdumieniem, ponieważ na moich oczach syn niezwykle szybko dojrzewał, stawał się młodym patriotą. Widząc, jak Emil się angażuje, próbowałam z nim rozmawiać, powodowana matczynym lękiem. To naturalne, że bałam się o jedyne dziecko. Niepokoilałam się, że jego działalność może się źle skończyć. Pamiętam szczególnie jedną dyskusję, kiedy przywołał nazwiska Tomasza Zana i Adama Mickiewicza, mówił o filaretach i filomatach, o kibitkach wysyłanych na Sybir. Odniosłam wtedy wrażenie, że on gotów jest już teraz wsiąść do takiej kibitki i pojechać za swoje ideały na najdalszy Sybir...

Wszystkie próby przekonania go, by ograniczył swoje zaangażowanie, zawiodły. Podczas którejś z naszych rozmów Emil powiedział: *„Mamo, ty i tata należycie do pokolenia przestraszonych. Was już przestraszyli, a mnie jeszcze nie zdążyli. Ja się ich nie boję. Nie będę żył na kolanach. Umrę stojąc”*. Gotów był na wszystko, był nieustępliwy, prezentował typowo młodzieńczy idealizm. A ja ciągle miałam nadzieję, że z tego wyrośnie.

W 1981 roku Emil intuicyjnie wyczuwał, że panujący ustrój się kończy i że warto zaważczyć o przyspieszenie przełomu. *„Mamo — mówił — to ich ostatnie podrygi. Oni się już kończą. Nie widzisz, jaką mają zadyszkę?”* Miał do komunistów pretensje o tępienie wiary w Boga, o zniszczenie wartości chrześcijańskich w sercach i umysłach wielu jego kolegów.

Syn zetknął się w tym czasie z Ruchem Młodej Polski, na którego czele stał młodzieńki wtedy Aleksander Hall. Przewodniczącym samorządu szkolnego w Liceum im. Reja był wówczas Tomek Sokolewicz, uczeń trzeciej klasy, inteligentny, wrażliwy chłopak, bardzo zaangażowany w działalność opozycyjną; i jak głosiły szkolne plotki — związany z Ruchem Młodej Polski. Sokolewicz często rozmawiał z Emilem, dyskutowali na przerwach o polityce.

Dzięki Tomkowi oraz Grzesiowi Ziemniakowi, koledze z klasy, zaangażowanemu w kolportaż nielegalnych książek, Emil zetknął się z wydawnictwami podziemia. Zaczął przynosić do domu broszury, ulotki, książki. Czytał je z zawzięciem, a ja i mój mąż razem z nim. Ich treść miała wpływ także na nas, ale nadal staraliśmy się powściągać entuzjazm syna.

Nastał 13 grudnia 1981. Niektórzy z naszych przyjaciół zostali internowani. Syn musiał bardzo szybko pozbyć się nakładu „Kabla”, który był jednoznaczny w wymowie politycznej. Bardzo pomocny okazał się wtedy dyrektor szkoły, Witold Kaliński, który najpierw dał uczniom wolną rękę w tworzeniu pisma, a potem pomógł je ukryć. Zagrożenie było duże także dla grona pedagogicznego, z Zofią Bujalską na czele.

W styczniu 1982 syn miał szesnaście i pół roku. Oprócz kolegów ze szkoły, zaprzyjaźniony był z kilkoma chłopcami ze Starego Miasta, także ze wspaniałym Arturem Nieszczerzewiczem, pseudonim „Szczurek”. Emil często go odwiedzał w mieszkaniu przy ulicy Bugaj (my mieszkaliśmy na Bonifraterskiej). Odbywały się tam różne spotkania, niekoniecznie polityczne — syn intensywnie uczestniczył we wszystkich. Szybko zorientowałam się, że Artur mu imponuje. Był o rok starszy i mieszkał sam, bez rodziców. Emil mówił o nim: *„Mamo, to wspaniały chłopak. Nikt nie każe mu się uczyć, a on uczy się sam dla siebie. Nie dla rodziców, których tak naprawdę chyba niewiele obchodzi. Przecież zostawili go samego w tym mieszkaniu...”*

Emil zaprzyjaźnił się w tym czasie także z Szymonem Pochwalskim i Krzysztofem Kownasem. Obaj — starsi od niego o prawie dwa lata — byli uczniami szkoły wieczorowej. Mieszkali niedaleko nas, przy ulicy Wałowej. Syn poznał także Krystynę Pochwalską, mamę Szymona, która — jak mi Emil opowiadał — działała wówczas bardzo aktywnie w Prymasowskim Komitecie Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, powstałym przy warszawskim kościele św. Marcina na ulicy Piwnej, organizując między innymi kolonie i obozy dla dzieci osób internowanych w Białoleczę.

Krystyna Pochwalska to wielka indywidualność, bardzo ciekawy człowiek. Młodzi ludzie, którzy spotykali się w jej mieszkaniu na Wałowej, mówili na nią Ciotka Kryśka. Zrobiła na Emilu wielkie wrażenie. Do Ciotki Kryśki biegał wówczas

nieustannie i tam spotykał się z innymi młodymi ludźmi, zaangażowanymi w większym lub mniejszym stopniu w działalność opozycyjną. Wszyscy oni byli szalenie pewni swoich racji i w ich przekonaniu mocno zakonspirowani.

W tym czasie nie miałam okazji osobiście poznać Krystyny Pochwalskiej, ale poznałam jej syna, który zaczął nas dość często odwiedzać. Emil był nim zachwycony. Mówił: „*Mamo, Szymon to najfajniejszy chłopak, jakiego udało mi się w życiu poznać. A żebyś wiedziała, jaka fajna jest jego matka, Ciotka Kryśka*”.

Emil był bardzo zdyscyplinowany. Nigdy nie wychodził późno, szczególnie odkąd po wprowadzeniu stanu wojennego ogłoszono godzinę milicyjną (po godzinie 20.00 nieletnim nie wolno było przebywać na ulicy). Syn ściśle trzymał się tych rozporządzeń. Nie narażał mnie na niepotrzebny niepokój.

Na początku 1982 roku szkolne życie Emila, na które oprócz nauki składały się roznoszenie bibuły i kolportaż książek, stało się jeszcze bardziej intensywne. Moje protesty nadal jednak spotykały się z taką samą reakcją. Mówił, że inaczej się nie da, a w stanie wojennym tym bardziej trzeba się bronić i protestować, nie wolno dać się zastraszyć. Zamknął mi tym usta, gdyż uświadomiłam sobie, że ma rację. Rzeczywiście, powodem moich reakcji był strach. Bałam się.

10 lutego 1982 późnym popołudniem syn wpadł do domu razem z Arturem Nieszczerzewiczem. Obaj byli bardzo podnieceni, choć próbowali to ukryć. Trudno jednak było nie zauważyć, iż coś się stało. Musiałam się dowiedzieć, o co chodzi. Syn powiedział mi w wielkiej tajemnicy, że odważyli się zrobić zamach na pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Pomnik ten stał na ówczesnym placu Dzierżyńskiego, tuż pod nosem milicji, obok Pałacu Mostowskich, siedziby Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej. Akcja odbyła się o godzinie 16.00. Pięciu chłopców oblało pomnik farbą, a następnie go podpaliło, doszczętnie niszcząc tablicę upamiętniającą „wielkie zasługi” towarzysza Dzierżyńskiego dla Polski. Chłopcy zaraz po akcji szybko się rozbiegli. Reakcja milicji była natychmiastowa i niestety jednego z nich, Marka Marciniaka, złapano.

Pierwszy raz zetknęłam się wtedy z nazwiskiem tego chłopca. Nie był ze Starego Miasta ani z Wałowej, nie chodził także do szkoły Emila. Syn, aby mnie uspokoić, powiedział, że Artur Nieszczerzewicz rzekomo poznał go w kolejce po lody, a następnie zwerbował do akcji, bo brakowało im jednej osoby. Podobno Marek aż palił się do konspiracji. Pojawiło się pytanie, czy może ich wydać. Emil i Artur uspokajali mnie, że zna tylko ich pseudonimy. Dzisiaj wiem — tak było. Wtedy jednak obawialiśmy się, iż przez niego dotrą do syna i pozostałych chłopców.

Na drugi albo trzeci dzień po zdarzeniu „Trybuna Ludu” zamieściła notatkę o chuligańskim napadzie na pomnik oraz nieprawdziwą informację, że sprawcy zostali aresztowani.

Na Wałowej w tym czasie wrzało. Do domu Krystyny Pochwalskiej przychodziła duża grupa młodych ludzi z różnych warszawskich szkół... Niestety, syn nie dotrzymał konspiracyjnych zasad. Zwierzył się Szymonowi, że brał udział w akcji na pomnik Dzierżyńskiego i że została ona zorganizowana z inicjatywy chłopców ze Starego Miasta, związanych z Arturem Nieszczerzewiczem.

Leżał mi na sercu los Marka Marciniaka. Pytałam syna, czy wie, gdzie Marek mieszka i jak skontaktować się z jego rodziną. Niestety, nie wiedział. Marek stał się ofiarą, zapłacił za pomysł kilku odważnych chłopców. Dopiero na jego rozprawie dowiedziałam się, że był uczniem czwartej klasy licealnej i właśnie w tym roku zdawałby maturę. Niestety, jako pełnoletni podlegał dekretowi stanu wojennego, czyli w tym przypadku stawał przed doraźnym trybunałem wojskowym. Miał zatem zostać osądzony w trybie przyspieszonym. Milicja wołała traktować ten czyn jako wybryk chuligański, ale dla esbeków był to akt polityczny. Trudno im było znieść fakt, że akcja chłopców była wyjątkowo udana. Głównym celem esbeków stało się znalezienie kogoś, kto był „mózgiem” akcji na pomnik.

Ci spośród kolegów Emila, którzy wzięli udział w akcji i szczęśliwie uciekli, byli bardzo dumni z siebie. Nie było wśród nich przywódcy, osoby biorącej odpowiedzialność za cały plan. Wymyślili to wspólnie. Nie umiem powiedzieć, na ile czuli się odpowiedzialni za los Marka. Odbyłam rozmowę z synem na ten temat. Powiedział wtedy: „*Mamo, przecież każdy z nas ryzykował. Wszyscy jesteśmy dorośli i świadomi. To ja mogłem tam teraz siedzieć. Mogłem siedzieć razem z nim albo sam*”.

1 marca 1982 rano, około godziny 9.00, do moich drzwi ktoś zadzwonił. Przede mną stał chłopiec, którego widziałam po raz pierwszy. Przedstawił się, że jest od Ciotki Kryśki z Wałowej i nazywa się Krzysztof Kownas. Powiedział, że przychodzi, aby w imieniu Emila zawiadomić, iż nie ma go w szkole, bo poszedł „na robotę” i będzie w domu dopiero za trzy dni.

Byłam w szoku, wściekła. Tego się nie spodziewałam. Miałam wielki żal do syna, że postawił mnie w takiej sytuacji. Próbowałam dowiedzieć się od Krzysztofa, co to za „robotę” i kto ją zlecił. Okazało się, że Emil poszedł tam za niego; był z Szymonem Pochwalskim. To mnie trochę uspokoiło. „Robotę” okazała się drukowaniem broszury Adama Michnika *Będę krzyczał*. Krzysztof prosił, abym spokojnie czekała i nie denerwowała się, ponieważ najdalej za trzy dni Emil wróci do domu. Ponadto mieszkanie, w którym drukowali książkę, jest ściśle zakonspirowane, a chłopcom przez te dwa-trzy dni ktoś będzie przynosić jedzenie. „*Krzywda mu się nie stanie — zapewnił mnie Krzyś i dodał — a to jest telefon kontaktowy, w razie gdyby jednak coś się wydarzyło...*” Był to telefon do Krystyny Pochwalskiej.

Przeczekałam pierwszy dzień, przeżyłam jakoś drugi. Następnego dnia, czyli 3 marca, poszłam po pracy do mojej ciotki, chcąc prosić ją o radę i pomoc. Byłam zrozpaczona. Bałam się o syna.

W domu tego dnia był tylko mąż. Po południu wpadło do mieszkania kilku panów z nakazem rewizji. Przeszukali wszystko. Mąż dowiedział się od nich, że Emil został aresztowany i jest w Pałacu Mostowskich. Zaraz po rewizji mąż przyjechał po mnie i natychmiast tam pojechaliśmy. Powiedziano nam, że nazwiska syna nie ma w rejestrze zatrzymanych. Pomyślałam, że skoro nie jest pełnoletni, a dekret stanu wojennego nie obejmował niepełnoletnich, to nie wolno go aresztować i przetrzymywać w Pałacu Mostowskich. Mógł jednak zostać zatrzymany w Izbie Dziecka przy ulicy Wiśniowej.

Na Wiśniowej powiedziano nam, że nikogo takiego nie mają. Wówczas zadzwoniłam pod numer kontaktowy, który zostawił mi Krzysztof, i dowiedziałam się, iż rozmawiam z Krystyną Pochwalską. Powiedziała mi, że Szymon i Emil zostali aresztowani na ulicy Kijowskiej.

Natychmiast po tym telefonie pojechałam do niej. Dopiero tego dnia ją poznałam i bardzo przypadła mi do serca. Zbliżyło nas aresztowanie synów. Zaczęłyśmy wspólnie działać. Pocułam się dzięki niej bezpieczniej. Miała kontakty w podziemiu, robiła wrażenie osoby zorientowanej i opanowanej.

Szukałam Emila przez trzy dni. Od 3 do 5 marca nie wiedziałam, co się dzieje z synem. 4 marca dowiedziałam się od Krystyny, że jej Szymon wrócił do domu. Natychmiast pobiegłam do ich mieszkania i bezpośrednio od Szymona dowiedziałam się o okolicznościach aresztowania Emila.

Do mieszkania na trzynastym piętrze w wieżowcu przy ulicy Kijowskiej róg Targowej wpadł specjalny oddział milicji, który zajmował się wówczas szukaniem kilku młodych ludzi podejrzanych o zastrzelenie milicjanta.¹ Nie wiadomo, skąd milicja miała adres tego rzekomo głęboko zakonspirowanego mieszkania. Nikt nie miał prawa o tym wiedzieć, oprócz chłopców oraz niejakiego Andrzeja O., który znał Krystynę i który podobno nadał im tę robotę.

Aresztowanie chłopców odbyło się w dramatycznych okolicznościach. Emil próbował uciec balkonami, a było to trzynaste piętro... Straszili, że będą do niego strzelać. Wrócił do pokoju i wtedy go złapali.

Bili ich obu na miejscu, w mieszkaniu, następnie wrzucili do windy, zjechali na dół, wpakowali do samochodu i pojechali do Pałacu Mostowskich.

W areszcie Szymon i Emil zostali rozdzieleni. Zeznawali osobno. Szymon został wypuszczony po 24 godzinach. Rzecz dzisiaj, z perspektywy lat, zdumiewająca. Jak to? Nieletni jest zatrzymany, a pełnoletni wypuszczony. Dlaczego?

Szymon tłumaczył mi to wówczas w ten sposób: on się nie stawiał, powiedział im wszystko, a oni i tak wiedzieli, że nie brał udziału w akcji na pomnik Dzierżyńskiego. Mieli natomiast pewność, że Emil w niej uczestniczył. Prawdopodobnie ktoś go wydał. Szymon twierdził, iż syn został zatrzymany nie przez nielegalny druk, tylko z powodu udziału w akcji na pomnik. Uważał, że będą chcieli wyciągnąć od Emila, kto jeszcze brał w niej udział oraz kto był jej organizatorem. Dlatego Emil siedzi, a on nie. Szymon podkreślał, że odniósł wrażenie, iż on nie jest dla esbecji ważny, tak jak nie jest ważny dla nich jakiś tam kolejny nielegalny druk broszury Michnika. Ich przede wszystkim interesowała akcja na pomnik Dzierżyńskiego.

Po rozmowie z Szymonem nadal szukaliśmy syna, dzwoniłiśmy, jeździliśmy od Wiśniowej do Pałacu Mostowskich i z powrotem. Wszędzie twierdzono, że go nie ma. Odczuwałam silny niepokój. Gdyby nie informacje od Szymona, prawdopodobnie podejrzewałabym, że Emil został internowany, mimo iż był nieletni. Później dowiedziałam się, że całe te trzy dni siedział w kazamatach Pałacu Mostowskich, tylko oficerowie SB nie uznali za konieczne o tym informować...

5 marca o godzinie 17.00 do naszego mieszkania zadzwonił młody człowiek. Nazywał się Artur Rojek. Przyjechał z drugim młodym mężczyzną — przedstawili się jako aplikanci sądu dla nieletnich. Powiedzieli, że przybyli po rodziców Emila Barchańskiego, który za godzinę będzie stawał przed sądem w celu przesłuchania. Przysłała ich sędzina Halina Katarzyńska, gdyż zgodnie z prawem nie można przesłuchiwać nieletniego bez obecności rodziców. Emila nadal trzyma esbecja, która próbowała ukryć przed nami, że syn jest bezprawnie przetrzymywany w Pałacu Mostowskich. Ci dwaj młodzi aplikanci przybyli po nas swoim prywatnym maluchem...

Poculiśmy wielką ulgę, że syn się znalazł, ale jednocześnie ogromny strach przed rozprawą. Liczył się jednak fakt, iż przesłuchanie odbędzie się w sądzie dla nieletnich, a nie przed trybunałem wojskowym. W trybie doraźnym zapadały w ciągu godziny dość wysokie wyroki.

Kiedy zobaczyłam syna, był w kajdankach. Towarzyszyli mu dwaj esbecy po cywilnemu. Syn podbiegł do mnie. Przytuliłam go. Nie wyglądał na skruszonego. Miał bardzo poważną, ale dzielną minę. Zdażył mi szepnąć do ucha: „*Mamo, nie denerwuj się i bądź dobra dla tego pana po prawej, ponieważ on był dla mnie dobry. Wiesz, mamo, chyba go nawróciłem na wiarę w Boga*”. Mówił o ciemnowłosym, przystojnym poruczniku, Janie Polu, który stał obok nas i miło się uśmiechał.

Emila przesłuchiwały przy nas sędzina Barbara Solarz i sędzina Katarzyńska. Przede wszystkim zapoznały się z treścią protokołów przesłuchań syna w Pałacu Mostowskich. Wynikało z nich jasno, że brał udział w akcji na pomnik Dzierżyńskiego, a to, iż drukował broszurę Michnika, stanowiło sprawę drugorzędą. Zarówno obie sędziny, jak i esbecy pytali, czy akcja na pomnik była czynem chuligańskim czy ideowo-politycznym. Syn powiedział wówczas, że był to czyn jak najbardziej ideowy. I że z kolegami, którzy brali w tym udział, spotykał się tylko na Starym Mieście, na ulicy, nie znał ich nazwisk ani adresów. Nie wydał nikogo. Wiedział, że Marek Marciniak został aresztowany, bo zrobiono im konfrontację w Pałacu Mostowskich. Obaj udawali jednak, że widzą się po raz pierwszy. Nie dali się zastraszyć i zeznali, że się nie znają. Myślę, iż w tych warunkach zachowali się wspaniale. Obaj byli zmuszani przez esbecję wszystkimi możliwymi metodami, aby wskazali głównego winnego, który wymyślił, zaplanował i poprowadził akcję na pomnik Dzierżyńskiego.

W zeznaniach Szymona Pochwałskiego o akcji na pomnik padło nazwisko Tomka Sokolewicza. Synowi pokazali protokół tych zeznań i powiedzieli, że Szymon wskazał Tomka jako na możliwego inspiratora i „mózg” całej akcji. Szymon nie mógł mieć jednak co do tego pewności, bo przecież sam nie brał udziału w akcji. (Jak się potem okazało, również Szymonowi pokazali protokół z zeznań Emila, w których rzekomo wskazał na Tomka Sokolewicza jako na pomysłodawcę akcji na pomnik.) Cały czas w trakcie przesłuchań syna w Pałacu Mostowskich esbecy wmawiali mu, że już wiedzą, iż wszystko to wymyślił Tomek Sokolewicz, że jest przywódcą młodzieżowej grupy konspiracyjnej i że Emil zostanie natychmiast wypuszczony, jeśli zezna, iż za wszystkim stoi właśnie Tomek oraz Ruch Młodej Polski z Aleksandrem Hallem na czele...

To wszystko po raz pierwszy usłyszałam podczas przesłuchania syna w sądzie dla nieletnich. Młody aplikant, Artur Rojek, protokołował, a obie sędziny zadawały pytania. Padło tam też znamienne pytanie sędziny Katarzyńskiej: „*A dlaczego ty to wszystko, synu, robisz?*”. Odpowiedź Emila brzmiała: „*Ponieważ taki socjalizm, jaki proponuje ten rząd i ta partia, jest nie do przyjęcia*”. — „*Aha, mamy więc pierwszą sprawę polityczną nieletniego*” — tak sędzina Katarzyńska zakwalifikowała czyn Emila. Nie jako wybryk chuligański, działalność kryminalną czy przestępczą. Wyzaczyła termin rozprawy na 17 marca. Musiała działać w trybie doraźnym, czyli bardzo szybko.

Podczas przesłuchania dowiedziałam się również, że esbecy chcieli postawić syna przed trybunałem wojskowym. Miał mieć sprawę w trybie doraźnym 4 marca, ale jakiś sędzia wojskowy w stopniu pułkownika po zapoznaniu się z aktami Emila zauważył, iż

¹ Chodzi o Zdzisława Karosa, który 18 lutego 1982, podczas próby odebrania mu w tramwaju broni służbowej, został śmiertelnie raniony przez 17-letniego Roberta Chechłacza, członka powstałej po wprowadzeniu stanu wojennego uzbrajającej się organizacji podziemnej. Chechłacza skazano na 25 lat więzienia, wyszedł na wolność w 1989 roku.

oskarżony jest nieletni. Pomyślałam potem, że w tych trudnych dniach znalazł się przynajmniej jeden przyzwoity sędzia wojskowy. Niestety, nazwiska tego człowieka nigdy nie poznałam.

Dla mnie najtrudniejsze do zrozumienia i zaakceptowania było to, że syn jednak podpisał protokół swojego przesłuchania, w którym zeznał, że Tomek był „mózgiem akcji na pomnik Dzierżyńskiego”. Nie mogłam się z tym pogodzić. Byłam oburzona, gdy powiedział mi, że świadomie złożył fałszywe oskarżenie. Zrobił tak wiedząc, iż Tomek nie miał z tym nic wspólnego. Tłumaczył mi, że kiedy dojdzie do sprawy Tomka, a ci, co syna szantażują i biją, wreszcie wypuszczą go ze swoich łap, jako świadek odwoła to, co powiedział w śledztwie, ponieważ zeznanie pod przymusem nie jest ważne. Nic mu wtedy nie zrobią, a co więcej, zdemaskuje ich bezprawne metody działania. Taki miał plan.

Rozumowanie syna powoli w moim odczuciu nabierało sensu. Udało mu się przekonać mnie do tego planu. W ten sposób miał szansę nagłośnić całą sprawę. Uważał, że nie można tego zrobić po cichu, bo skończy się wyłącznie na biciu i nękanii jego osoby, a Tomkowi i tak nie pomoże. Przecież Sokolewicza aresztowali tego samego dnia, co Emila, 3 marca, i od początku siedział pod fałszywymi zarzutami. Tak naprawdę nic na niego nie mieli. Próbowali dopiero zmontować fałszywe oskarżenia, by przez Tomka dotrzeć wyżej, do tych działaczy opozycyjnych, na których im naprawdę zależało. Emil i Tomek mieli oskarżać w zamian za uwolnienie z aresztu i bezkarność. A kto wie, może esbekom udałoby się zwerbować ich do stałej współpracy? Na pewno na to liczyl. Złamać, zeszmacić i zwerbować. Syn tak mi to właśnie tłumaczył: „*Mamo, oni przecież dobrze wiedzą, iż Tomek nie jest przywódcą*”. Podobno nawet powiedział im wprost: „*To nie Tomek, ale jeśli chcecie, dobrze, złożę wam fałszywe zeznania*”. Rozmawiał z nimi cynicznie, świadom, że jest to rodzaj gry, a esbecy chcą go wykorzystywać.

5 marca w sądzie dla nieletnich syn zdążył szepnąć mi kilka słów na temat notesu z adresami i telefonami kolegów, który zostawił w mieszkaniu na Kijowskiej, gdzie go aresztowano. „*Mamo, notes leży za tapczanem, pojedź tam. Może go nie znaleźli...*” — prosił. Adres i klucze dostałam chyba od Krzysia Kownasa i pojechałam tam z mężem; z duszą na ramieniu. Nie wiedzieliśmy, kogo tam zastaniemy... Nikogo nie było i rzeczywiście za tapczanem znalazłam notes. Na tapczanie leżała torba Emila ze szkolnymi książkami. Zdziwiłam się, że nie było widać żadnych śladów rewizji. Tak jakby to mieszkanie w ogóle esbeków nie interesowało.

I chyba wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, iż ktoś ich wydał. Ten ktoś wskazał na Tomka i na Emila, a teraz esbecja próbuje zrobić z Emila świadka oskarżenia w sprawie Sokolewicza.

Tomka zabrali z domu późnym wieczorem 3 marca i nie mógł wiedzieć, że Emil zajmował się tego dnia nielegalnym drukiem w mieszkaniu przy ulicy Kijowskiej i że w południe został tam aresztowany. Nie wiedział również, iż chcą go oskarżyć o zorganizowanie akcji na pomnik Dzierżyńskiego, wykorzystując do tego zeznanie Emila. Tomka trzymali w areszcie przy ulicy Rakowieckiej, a Emila w podziemiach Pałacu Mostowskich. Wcale im nie zależało na szybkiej konfrontacji chłopców i ich zeznań. Wpierw musieli nad nimi odpowiednio „popracować”, a na to potrzebowali czasu.

I w końcu przyszedł ten moment. Czas triumfu esbeckich metod pracy. Zrobili konfrontację i postawili chłopców naprzeciwko siebie, w obecności przesłuchującego pułkownika. Byłam obecna w czasie tej konfrontacji. Odczuwałam tę sytuację jako cyniczny triumf zakłamanego systemu politycznego. Starą metodą policji politycznej, stosowaną już wcześniej i przez carską Ochranę, i przez Gestapo, i przez NKWD, a także przez nasz rodzimy Urząd Bezpieczeństwa w czasach stalinowskiego terroru, zastosowano wobec 19-letniego znerwicowanego, wybuchowego i emocjonalnego Tomka. Emil co prawda był od niego spokojniejszy, bardziej opanowany, ale po wyjściu z konfrontacji powiedział do mnie: „*Muszę to wytrzymać. Jeszcze trochę, mamo. Nie mogłem się odkryć. Gdybym się teraz załamał i wycofał swoje zeznania, nie wytoczyliby Tomkowi sprawy. Szukaliby jakiegoś innego fałszywego świadka. A przecież tylko ja mogę powiedzieć na jego rozprawie, że jest niewinny*”.

W tym czasie godzinami rozmawiałam z Szymonem oraz jego mamą o tym, co robić. Konsultowałam z nimi każdy szczegół. Wszyscy moi przyjaciele pytali, czy ufam Krystynie, czy wiem, kim ona jest i dlaczego jej syn jest wolny, a Emil nie. Odpowiadałam, że ufam, gdyż mój syn ufa i jej, i Szymonowi. Tłumaczyłam to intrygą esbecji. Krystyna uważała, że Szymon został wypuszczony z aresztu, bo esbecy liczyl na to, iż doprowadzi ich do ważnych działaczy opozycyjnych. Na pewno jest pod obserwacją. Mieszkanie na Wałowej może być spalone, więc nie wolno niczego w nim trzymać. Szymon, w obawie przed rewizją, przewiózł więc całą bibułę i wszystkie książki do mieszkania ojca. (Jego tata, rozwiedziony z Krystyną, mieszkał na ulicy Korkowej.)

To od Krystyny usłyszałam po raz pierwszy o Andrzeju O. W pewnym momencie zaczęła podejrzewać, że może jest on agentem, a druk na Kijowskiej był prowokacją SB. O tym, że miał tam pójść Krzys z Szymonem, a przez chorobę Krzysia ostatecznie poszedł Emil, esbecy mogli wiedzieć właśnie od Andrzeja O. Chodziło o dotarcie do Emila, o którym już wcześniej wiedzieli, iż uczestniczył w akcji na pomnik. Nie dowiedzieli się o tym od Marka Marciniaka, bo w jego zeznaniach nie było personaliów Emila. Musiał to być ktoś inny. Ale kto? Czyżby O.? Zapytałam syna, komu opowiedział o akcji na pomnik. Przyznał, że wygadał się na Wałowej — pochwalił się Andrzejowi O.

Myślę, że esbecji zależało na złapaniu Emila podczas nielegalnego druku, aby mieć coś na niego i potem móc go szantażować więzieniem i wyrokiem. Wcale nie chodziło o to, by wydał prawdziwego inspiratora akcji na pomnik. Nawet gdyby się przyznał, że to on sam wymyślił tę akcję, nie uwierzyliby mu. Mój syn był raczej w całej tej sprawie tylko pionkiem. W tym czasie esbecji tak naprawdę zależało na aresztowaniu i postawieniu przed trybunałem Tomka Sokolewicza.

Po przesłuchaniu przez sędzinę Katarzyńską, Emil został osadzony w Zakładzie Poprawczym dla Nieletnich na Okęciu, gdzie miał osobny pokój. Cekał na rozprawę. Każdego dnia, między 6 a 16 marca, przychodzili do niego na zmianę por. Jan Pol i ppor. Jerzy Czemieliński, którzy nadal niezmordowanie przesłuchiwali syna. Odwiedził go też jakiś ksiądz, później okazało się — podstawiony. Była to jedna z wielu prób wyciągnięcia od syna informacji. Znowu nieudana, gdyż Emil powtórzył księdzu, iż Tomek jest niewinny, a on podpisał fałszywy protokół. Syn był wtedy przygotowany na wyrok uwięzienia.

Emila odwiedzał na Okęciu także jego obrońca, mec. Tomasz Sawicki, rekomendowany przez naszych przyjaciół. Mecenas tłumaczył mi, że myślenie syna jest karkołomne i trzeba mu je wyperswadować. Jego zdaniem, syn nie powinien oskarżać Tomka, a następnie podczas rozprawy zmienić się ze świadka oskarżenia w świadka obrony... Uważał, iż takim zachowaniem Emil sam ukreśli na sobie bic. Zostanie oskarżony o złożenie fałszywych zeznań, a za to grozi 5 lat.

W tym czasie nadal spotykałam się z Krystyną, od której wiele słyszałam o Tomku Sokolewiczu. Twierdziła, że najlepiej będzie, jeśli Tomka trochę przetrzymają, bo gdy Emil go wybroni i niczego na niego nie będą mieli, chłopak stanie się

zagrożeniem dla ludzi z opozycji, ponieważ nie umie dochować zasad konspiracji. Radziła, by Emil nie odwoływał zeznań. Syn posłuchał jednak nie Krystyny, ale mecenasa Sawickiego, który kazał mu jak najszybciej odwołać zeznania obciążające Sokolewicza. Obiecał, że zrobi to na sprawie Tomka.

17 marca 1982 w sądzie dla nieletnich odbyła się rozprawa Emila. Jeden z obecnych na niej dziennikarzy powiedział do mnie: „*W stanie wojennym była to pierwsza sprawa gówniarza politycznego*”. Emil, gdy mu to powtórzyłam, był bardzo dumny z tego określenia.

Wreszcie Emil złożył zeznania przed sędzią Katarzyńską. Czuł się bezpieczny. Tortury już się skończyły. Powiedział mi, że żaden z odwiedzających go na Okęciu esbeków nie podniósł na niego ręki. „*Jedni są od bicia, a drudzy od zaprzysiężania się.*” Ci dwaj próbowali się z nim zaprzysiężyć, nawet dali się synowi nawrócić. Jeden założył medalik, drugi opowiadał o problemach z córką...

Mecenas Sawicki poświęcił dużo czasu, by znaleźć precedens prawny dla tej sprawy. I znalazł. W przeszłości zdarzyła się już akcja na pomnik Dzierżyńskiego. Studenci Politechniki Warszawskiej w 1956 roku oblali czerwoną farbą ręce Dzierżyńskiego-rzeźnika. Oni też mieli sprawę w sądzie. Zostali uniewinnieni. Mecenas Sawicki, powołując się na ten precedens, wykazał, że nie określono tego czynu jako chuligański ani jako niszczenie mienia publicznego, tylko jako akt polityczny.

Sędzina Katarzyńska uznała czyn Emila za działanie polityczne nieletniego, ideowego chłopca, który marzy o sprawiedliwej Polsce. Uznała, że był to czyn nieprzemyślany, gdyż naruszył mienie państwowe. Nie nazwała akcji na pomnik wybrykiem chuligańskim, ale próbą zmanifestowania przez młodego człowieka swojego stosunku do stanu wojennego. Ostatecznie sędzina Katarzyńska wydała wyrok: 2 lata w zawieszeniu oraz opieka kuratora do czasu osiągnięcia pełnoletności.

Dopiero jakiś czas później zapoznałam się z pełnymi aktami sprawy syna. Wówczas dowiedziałam się, że oprócz oskarżenia o akcję na pomnik Dzierżyńskiego wpłynęło również oskarżenie esbecji z Pałacu Mostowskich sugerujące, iż Emil i Tomek zawiązali spisek mający na celu obalenie ustroju państwa. Założyli jakoby organizację mającą na celu obalenie rządu. Śmiałyśmy się z tego, gdyż wydawało się to niepoważne. W oskarżeniu zostali określani jako antysocjaliści, antykomuniści, rewizjoniści. Drugim zarzutem było zniszczenie mienia państwowego — pomnika, dzieła sztuki. Gdyby ten czyn został zakwalifikowany jako wybryk chuligański, syn musiałby za to słono zapłacić, ale w przypadku kwalifikacji politycznej został zwolniony z obowiązku pokrycia szkód materialnych. Dopiero trzecim zarzutem był nielegalny druk. A zatem złamał kilka przepisów stanu wojennego... Pomogło mu ostatecznie to, że był nieletni. Gdyby ta sama sprawa toczyła się przed trybunałem wojskowym, zakończyłaby się więzieniem.

18 marca syn szczęśliwie opuścił Zakład Poprawczy dla Nieletnich na Okęciu i wrócił do domu. Po sprawie został jeszcze raz zabrany do Pałacu Mostowskich, gdzie znów był przesłuchiwany. Obawiali się, iż zezna co innego na sprawie Tomka. Chcieli go dobrze przestraszyć. Wtedy po raz pierwszy usłyszał, co się może stać jego matce, ojcu, a także jemu. Dowiedział się, że jeśli nie będzie posłuszny, może do sprawy nie dożyć. Sugerowali, że może wypaść z okna albo pijany zginąć w wypadku. Opisywali mu, jak to się robi: wlewa się ćwiartkę do ust, a następnie wpycha pod samochód czy tramwaj. Padło również zdanie, że może się utopić. Wypadki bywają różne... Oczywiście, nie znalazło się to w żadnym protokole i syn nie był w stanie tego udowodnić. Były to rozmowy w cztery oczy, bez świadków. Powtórzył mi tylko, czym mu grozili i próbował mnie uspokoić. Byłam tymi pogrozkami przerażona.

Po powrocie syna do szkoły otaczała go aura bohatera, koledzy okazywali mu szacunek i sympatię, klasa wybrała go na swojego przewodniczącego. Odnosiłam wrażenie, że syn od czasu sprawy ma w liceum taryfę ulgową, z czego wcale nie byłam zadowolona. Emil pocieszał mnie, że wszystkie zaległości w nauce szybko nadrobi, a pani od łaciny obiecała pomoc. Liczył także na swoją wychowawczynię, Zofię Bujalską.

Do 17 maja 1982, kiedy to stanął na sprawie Tomka jako świadek, syn podlegał przeróżnym wpływom — kolegów, szkoły, rodziców, Krystyny. Każdy udzielał mu rad. Emil wyznał mi wtedy, że mimo wszystko czuje się bardzo samotny. Wiedział, iż jako „konspirator” jest spalony i nikt nie proponuje mu „roboty” w podziemiu.

Ważną dla mnie i dla syna datą stał się dzień 17 kwietnia, kiedy rząd w geście dobrej woli zezwolił na jedną dobę bez godziny milicyjnej, aby prawosławni mogli świętować Wielkanoc. To był jedyny wieczór, gdy można było bez obawy, że się zostanie zatrzymanym, wychodzić z domu przez całą noc. Dotyczyło to także młodzieży. W ten wiosenny, pogodny wieczór przyszła do nas Krystyna. Bardzo poważnie rozmawiała z nami na temat decyzji Emila w sprawie zeznań na rozprawie Sokolewicza. Próbowała przekonać syna, aby nadal konsekwentnie świadczył przeciwko niemu. Tłumaczyła, iż tak będzie lepiej. Emil odpowiedział, że się zastanowi, ma jeszcze na to czas. Tej nocy wyszliśmy z domu o 4.00 nad ranem, co było w tamtych czasach wielką frajdą. Przynajmniej przez chwilę czuliśmy się wolni. Odprawiliśmy Krystynę z Bonifraterskiej na Wałową. Wróciliśmy do domu po 5.00. Szliśmy środkiem jezdni.

Po powrocie do domu wróciliśmy do rozmowy o zeznaniach syna w sprawie Tomka. Nie rozumiałam, dlaczego Krystyna tak bardzo nalega na podtrzymanie fałszywych zeznań Emila. Nie negocjowałam jej zdania na temat Tomka, bo go w ogóle nie znałam, ale uważałam, że Emil nie może wziąć na siebie moralnej odpowiedzialności za czyjeś uwięzienie. Powiedział mi wtedy, że to jest gra. Tamci panowie zagrali z nim, a on z nimi. „*Nic się nie bój, mamo. Tomkowi nic się nie stanie*” — zapewniał. „*Ale Tomek siedzi, a ty nie. Szymon też jest na wolności*” — odparłam. „*Mamo, irytuje mnie, że myślisz za mnie. Ja już dawno, już wtedy, kiedy mnie bili, wiedziałem, co dalej zrobić. Nie zmieniłem zdania i nie zmienię. Nie mam wpływu na to, że Tomek teraz siedzi. Muszę czekać do jego rozprawy. Zapewniam cię: on wyjdzie z więzienia. Nawet gdybym miał za to zapłacić życiem...*”

Nigdy nie zapomnę tych słów.

Syn obruszył się na mnie, że w ogóle mogę podejrzewać go o to, iż rzeczywiście oskarży Tomka i pozwoli, aby niewinnie siedział w więzieniu. Gdy go zapytałam, co myśli o argumentach Ciotki Kryski, odpowiedział: „*Ona chce dla mnie jak najlepiej. Próbuje mnie ratować. Traktuje mnie jak syna. To samo radziłaby Szymonowi*”. Zamilkłam. Zrobiło mi się strasznie przykro. To znaczy, że Krystyna kocha Emila bardziej ode mnie i pragnie za wszelką cenę go chronić, a ja, jego matka, namawiam go do zeznań, które w konsekwencji mogą okazać się dla niego brzemiennie w skutki...

W maju 1982 odbywało się w Warszawie wiele demonstracji. Zaczęły się 1 maja, ale zorganizowano je również 3, 9 oraz 13 maja. Niestety, mój ukochany syn, choć miał wyrok w zawieszeniu, też uczestniczył w tych manifestacjach, zapowiadając, że będzie tylko spokojnie demonstrował i nie posunie się do niczego więcej. Ale już 3 maja został mocno przytruty gazem. Nie

widział na oczy, dusił się. A od dzieciństwa był alergikiem, chorował na astmę. W szkole ratowali go lekarz i pielęgniarka. Mimo to poszedł na demonstrację raz jeszcze, 9 maja. Potem dowiedziałam się, że przyłączył się do Konfederacji Polski Niepodległej.

Któregoś majowego dnia przyszło wezwanie z sądu: „...Emil Barchański jako świadek w sprawie Tomasza Sokolewicza i Marka Marciniaka, oskarżonych o napaść na pomnik Feliksa Dzierżyńskiego”. Zostaje wezwany również Szymon pod zarzutem nielegalnego druku.

Nadchodzi upalny dzień 17 maja. Na ulicach kręci się mnóstwo milicjantów. Po niedawnych manifestacjach nastąpiły dalsze obostrzenia. W samo południe idę z synem na sprawę Tomka i Marka. Do końca życia będę miała ten dzień w pamięci.

Młodzi ludzie zakładali wówczas na palce pierścionki zrobione z oporników (wskazujące, że stawiają opór systemowi), a także, wzorując się na Lechu Wałęsie, nosili w klapach marynarek podobną Matki Boskiej. Emil, zaopatrzony w ów opornik, za który można było trafić do więzienia, z wpiętym w klapę wizerunkiem Matki Boskiej, szedł na sprawę Tomka, aby złożyć zeznanie. Prosiłam go, wręcz błagałam, aby zdjął z palca opornik i odpiął z klapy wizerunek Matki Boskiej, by nie prowokować milicji. Bałam się, okropnie się bałam. Mówiłam mu, że może nie dojść do gmachu sądu na Lesznie, ponieważ po drodze stoi mnóstwo milicyjnych patroli, a przecież tak mu zależy, by powiedzieć przed sądem prawdę. Był jednak nieugięty. Odpowiedział mi: „*Nie, mamo, nie zdejmę. Ja idę pod opieką Matki Bożej i nie schowam do kieszeni Jej obrazu*”. Jego ufność była absolutna. I rzeczywiście, to on miał rację, nie ja. Dotarliśmy do gmachu sądu bez przeszkód. Nikt nas nie zaczepił.

Sprawa toczyła się przy drzwiach otwartych. Przyszło mnóstwo ludzi z opozycji, działacze z Komitetu Prymasowskiego, kurator Emila Artur Rojek, przyjaciele, znajomi, uczniowie Liceum im. Reja, nauczyciele, dziennikarze — głównie ci, którzy pisali do nielegalnej prasy.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyłam Marka Marciniaka i jego matkę, Danutę Marciniak. Na sprawie zeznawali przyjaciele i przełożeni matki Marka oraz jej sąsiedzi. Dawali świadectwo, że chłopiec nie był chuliganem, dobrze się uczył, nie sprawiał żadnych trudności wychowawczych. A jego matka była bardzo porządną kobietą i świetną pracownicą.

Wreszcie przyszedł moment, kiedy syn został wezwany i stanął przed sądem jako świadek. Zaraz na wstępie powiedział, że jego zeznania złożone i podpisane w śledztwie są nieprawdziwe. Kazano mu tak zeznawać, wymuszając to na nim szantażem i biciem. Podkreślił, że Tomek Sokolewicz jest niewinny. Zaznaczył, iż sam padł ofiarą prowokacji SB, bo wśród działaczy opozycyjnych kryją się jej agenci. Miał to nieszczęście, że pochwalił się właśnie jednemu z nich, udającemu wielkiego przyjaciela, uczestnictwem w akcji na pomnik, a ten prawdopodobnie go wydał. Nadal utrzymywał, że nie zna Marka Marciniaka. Podawał jedynie pseudonimy pozostałych chłopców. Nie wie, gdzie mieszkają, nie zna ich imion i nazwisk. Spotykali się w bramie na Rynku Starego Miasta.

Część zeznań złożonych w śledztwie pokrywała się z tym, co mówił teraz, ale tym razem wyraźnie podkreślił: został użyty do tego, by „wsadzić” Tomka Sokolewicza. Wyjaśnił, że otrzymał już wyrok sądu dla nieletnich, znajduje się pod opieką kuratora, a Tomek był tylko jego kolegą ze szkoły, z którym wymieniali poglądy na temat panującego ustroju. Syn podkreślił, że obaj liczą na to, iż ustrój ten zmieni się na lepszy, o co chcą i będą walczyć. Wszystko, co mówił, cała jego postawa była tak szalenie ideowo-młodzieńcza, że niektórzy ludzie siedzący na sali sądowej mieli w oczach łzy wzruszenia.

Opowiedział, co mu robiono w śledztwie. Mówił jasno, precyzyjnie i głośno; był opanowany. Oskarżał system. Na sali powstał niezwykły szum. Prokurator, młoda kobieta, nie wytrzymała i wyskoczyła z krzykiem ze swego miejsca, próbując go zastraszyć pięcioma latami więzienia za fałszywe zeznania. Natomiast sędzia był chyba pod wrażeniem słów Emila, ponieważ zadawał mu pytania życzliwym tonem i cały czas zachowywał się wobec niego bardzo delikatnie. Spytał, czy syn może podać nazwiska funkcjonariuszy, którzy biciem wymusili na nim fałszywe zeznania. Czy to por. Jan Pol? Jerzy Czemieliński? „*Nie, ci panowie mnie nie bili. Ci panowie byli uprzejmi, zaprzyjaźniali się ze mną. Oni już tylko zapisywali efekt pracy tamtych panów, tych od bicia.*” Sędzia kazał to koniecznie zaprotokołować i jeszcze raz poprosił syna o podanie nazwisk funkcjonariuszy, którzy go bili. Syn odpowiedział: „*Ci panowie, kiedy biją, nie przedstawiają się, ale jestem gotów w każdej chwili ich rozpoznać*”. Znowu na sali szum. A pani prokurator znów zaczęła krzyczeć: „*Jak świadek śmie mówić takie rzeczy i czy wie, co mu za to grozi?!*”.

Chyba ze względu na zeznania Emila sprawa stała się później tak głośna. Mówiono o niej w zagranicznych rozgłośniach radiowych — w Głosie Ameryki, Wolnej Europie, pisano w podziemnej prasie. W tamtych czasach było ewenementem, że młody człowiek, licealista, mówi głośno takie rzeczy w sądzie. Jedynie znani działacze opozycyjni mogli sobie pozwolić na podobną postawę, ale nie ktoś taki jak Emil, nikomu nie znany chłopak.

Tamtego dnia, w sądzie, przeżyłam wielkie wzruszenie i odczuwałam prawdziwą matczyną dumę. Obcy ludzie podchodzili do mnie, gratulowali mi takiego syna, podkreślali jego niesłychaną odwagę i wzruszający młodzieńczy idealizm.

Przez zeznania Emila sąd nie mógł wydać żadnego wyroku. Marek wrócił do aresztu, a Emil do szkoły. Termin następnej rozprawy został wyznaczony na 17 czerwca.

Po 17 maja mój syn znów przeżywał w szkole swoje pięć minut chwały. Gratulowano mu, że nie pozwolił sobą manipulować, podziwiano za to, iż stać go było na powiedzenie prawdy.

W maju w życiu Emila nagle pojawił się nowy znajomy — Hubert I., który dość szybko zaprzyjaźnił się z synem. Nie wiem, czy to przez matczyną intuicję, czy też przez naturalną w tamtych czasach nieufność — byłam zdecydowanie niechętna tej nowej znajomości. Tak jak ufnie przyjmowałam w domu innych przyjaciół syna, tak ta znajomość od początku mi się nie podobała. Widziałam jednak, że syn czuł się bardzo samotny, a znajomość z 22-letnim Hubertem, studentem handlu zagranicznego, bardzo mu imponowała. Nie miałam serca zabraniać mu tych spotkań.

Hubert był naszym sąsiadem. Wynajął w naszym domu kawalerkę i zamieszkał wraz z młodzieńką żoną i maleńkim dzieckiem. Miał suczkę, nazywała się Kama. Syn poznał go na podwórku, podczas spaceru z naszym psem, Bubą. Zakolegowali się. Hubert bardzo szybko zdobył zaufanie syna. Emil dość często go odwiedzał. Byłam temu przeciwna, ponieważ kilka razy wrócił do domu już po 20.00, czego nie wolno mu było robić ze względu na godzinę milicyjną. Mówił, że na podwórku nic mu się nie stanie, z łatwością przemknie się z klatki do klatki. Odpowiadałam niezmiennie, iż nie wolno mu ryzykować, bo mogą chcieć go zaaresztować pod byle pretekstem.

Hubert w tych upalnych majowych dniach 1982 roku parokrotnie zaraz po szkole zabierał ze sobą Emila i razem z psami jechali na plażę nad Wisłę, aby tam się uczyć. Hubert przygotowywał się do egzaminów na uczelni, a syn nadrabiał swoje

zaległości. Zbliżał się przecież koniec roku szkolnego, a on miał kłopoty z zaliczeniem dwóch przedmiotów — łaciny i przysposobienia obronnego. Emil opowiadał mi o tych wycieczkach nad Wisłę, a ja za każdym razem odczuwałam silny niepokój.

Wieczorem 2 czerwca Emil poszedł do Huberta. Widziałam, że zabrał ze sobą niebieską teczkę, w której trzymał swój maszynopis. Syn już od kilku tygodni siedział nad moją starą maszyną i opisywał wszystko, co mu się zdarzyło po 13 grudnia 1981. Swoją historię zatytułował *Od grudnia do maja*. Miał już kilkadziesiąt stron maszynopisu. Nigdy więcej nie zobaczyłam tej niebieskiej teczki. Hubert nigdy nie przyznał się, że Emil zostawił ją u niego. Sugerował, iż mógł ją zanieść na Wałową. Pytałam wszystkich przyjaciół syna, ale mimo że pamiętali teczkę, a niektórzy nawet czytali fragmenty tych zapisków, nikt ich nie miał. Ja też czytałam tylko fragmenty. Syn powiedział, że jak skończy, to da mi przeczytać całość.

Wieczorem tego dnia po powrocie od Huberta syn aż do północy słuchał swoich ulubionych nagrań. Miał taśmy z nielegalnie nagranyymi piosenkami, między innymi Jana Krzysztofa Kelusa i Jacka Kaczmarskiego. Jednak tego wieczoru najdłużej słuchał ballad Elvisa Presleya. Wykąpał się, zmienił pościel. Posprzątał swój pokój. Miałam do niego żal, że znowu siedział u Huberta za długo, ale kiedy zobaczyłam, jak wszystko sobie znakomicie przygotował i spakował do szkoły, nic nie powiedziałam.

Byłam wtedy pod wrażeniem świeżo przeczytanej książki *Rozmowy z mędrce*m Śri Ramana Mahariszego i dość często rozmawiałam o nim z synem, jako o kimś, kto głosił naukę podobną do Ewangelii. Mahariszi mówił o ścieżce miłości i prawdy, jako o jedynej drodze, którą warto iść w życiu. Także tego wieczoru rozmawiałam o tym z synem. Nie wiedziałam, iż będzie to nasza ostatnia rozmowa...

Następnego dnia, 3 czerwca, Emil zwolnił się z ostatnich dwóch lekcji i już po 12.00 był w domu. Ja tego dnia wróciłam z pracy do domu dopiero pod wieczór, ale wiem o tym fakcie od Szymona, który przypadkowo spotkał syna w samo południe. Emil zaproponował mu, aby wziął swojego psa i wybrał się z nim i Hubertem nad Wisłę. Szymon odmówił, mówiąc, że jest za gorąco na taką wyprawę.

Gdy wróciłam z pracy do domu, zastałam na stole kartkę: „Poszedłem po słońce z psem i PO [przysposobieniem obronnym]. Nie przy Tobie będzie Mahariszi, lecz przy mnie, jako kontrast w stosunku do intruza, który bez mojej woli we mnie jest, czyli Podsiadły [nazwisko nauczyciela PO]. Bądźmy czujni i zjedzmy razem obiad po moim powrocie, a będzie to godzina słońca takiego, które niepotrzebne mi będzie i wrócić będę mógł na łono Bonifraterskiej 16 m. 27. Emiliszczek”.

Od czasu sprawy w sądzie zaczęliśmy pisać do siebie kartki, abym zawsze w przypadku jego nagłego zniknięcia wiedziała, dokąd poszedł. Do dziś przechowuję te kartki, także tę napisaną 3 czerwca, czyli prawdopodobnie w dniu jego śmierci...

Kiedy minęła 20.00, czyli godzina milicyjna, a syn nie wrócił do domu, natychmiast pobiegłam do Huberta, ale go nie zastałam. Pognałam więc do Krystyny na Wałową, ale tam też nie było Emila. Około 21.00 znowu poszłam do Huberta. Właśnie przed chwilą wrócił. Miał mokre do kolan spodnie, pobrudzone piaskiem. Wręczył mi smycz i obrożę psa, szkolną torbę z książkami syna, jego zegarek, sportową letnią koszulkę i legitymację szkolną. Ze słów Huberta rozumiałam, że Emil został po godzinie milicyjnej gdzieś tam, na lewym brzegu Wisły, w samych szortach oraz sandałach. Bez koszuli, torby i bez legitymacji szkolnej. I wtedy Hubert opowiedział mi pierwszą wersję zdarzeń...

Twierdził, że około 15.00 pojechali autobusem na Saską Kępę, a następnie Wałem Miedzeszyńskim aż do miejscowości Błota, gdzie w ustronnym miejscu rozłożyli się na piasku nad Wisłą. Podobno Hubert znał to miejsce, ponieważ często jeździł tam z ojcem. Około 19.00 Emil prawdopodobnie przeszedł na drugą stronę Wisły, idąc po łachach piasku, czyli z praskiego brzegu rzeki, w miejscowości Błota, na drugi brzeg, w okolice Wilanowa.

Hubert opowiadał to wszystko, patrząc mi spokojnie w oczy. Twierdził, iż na przeciwległym brzegu Wisły widział jakiś samochód, a przy nim dwoje ludzi. Widział chyba idącego w ich kierunku Emila. Zaczął go wołać, ale syn chyba go nie słyszał, bo nie zareagował...

Tak więc, według zeznań naocznego świadka, Emil razem z psem spokojnie przeprawili się na drugi brzeg Wisły. „*Tylko, po co?*” — zapytałam. Ale Hubert na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć.

Następnego dnia, w piątek 4 czerwca, Krystyna zorganizowała grupę młodzieży, do której dołączyli moi przyjaciele mieszkający w sąsiedztwie. Wszyscy wyruszyli na poszukiwania Emila. Rozumowaliśmy tak: przecież nie mógł wracać do domu półnagi; na pewno skrył się gdzieś w krzakach i przenocował — na szczęście noc była bardzo ciepła; a teraz, rano, pewnie czeka na jakąś okazję, aby wrócić do domu. Trzeba go odnaleźć. Takie rozumowanie zasugerowała wszystkim opowieść Huberta. Uwierzyliśmy, że widział Emila całego i zdrowego na drugim brzegu Wisły. To była z naszej strony naiwność.

Grupa ludzi poszukujących syna przeszła kilometry nadwiślańskich brzegów, po lewej i prawej stronie rzeki. Kiedy wszyscy wrócili, spotkaliśmy się na Wałowej, gdzie wspólnie doszliśmy do wniosku, że Emil na pewno został aresztowany.

Oboje z mężem poszliśmy więc do Pałacu Mostowskich, przekonani, że esbecy — nie mogąc darować synowi wystąpienia na sprawie Tomka i Marka — na pewno szukali tylko okazji, aby go pod byle pretekstem zaaresztować. Przecież wszyscy czekaliśmy na termin następnej sprawy, choć Emil był przekonany, iż swoimi zeznaniami już uwolnił Tomka i jest to tylko kwestia czasu.

W Pałacu Mostowskich powiedzieli nam to samo, co w marcu: „*Nie ma tu takiego*”. Poradzili zawiadomić o zaginięciu syna Komisariat Reczny oraz Dzielnicowy Komisariat MO przy ulicy Jezuickiej, koniecznie też dać im jego zdjęcie. „*Na pewno syn się znajdzie. Młodzi lubią pryskać z domu, ale wracają do mamy*” — pocieszał mnie życzliwie oficer dyżurny.

Poszłam więc na Jezuicką. Dyżurujący tam milicjant przyjął ode mnie zdjęcie i formularz o zaginięciu, a gdy wychodziłam z komisariatu, powiedział mi, abym raczej szykowała trumnę, bo żywego już go nie zobaczą. Dziwił się, jaka jestem naiwna. Zasugerował, że jeśli ostatni raz widziano go nad Wisłą, a do tego jeszcze „*smarkacz bawił się w politykę*”, to na pewno się utopił. 6 — dodał na pociechę.

Cały czas pozostawałam w kontakcie telefonicznym z Pałacem Mostowskich, Komisariatem MO na Jezuickiej oraz Komisariatem Rzecznym, dzwoniąc do nich z telefonu Huberta lub od Krystyny.

W sobotę, 5 czerwca, zadzwoniono rano do Huberta z Komisariatu Rzecznego. Miał mi przekazać informację, że na pięćsetnym kilometrze Wisły, w okolicach Miedzeszyna, wyłowiono zwłoki mężczyzny — około 25 lat, wysoki blondyn. Syn był szatynem i miał 17 lat. Istniała więc możliwość, że to nie on. Powiedziano mi, iż zwłoki zostały przewiezione do Zakładu Medycyny Sądowej na ulicy Oczki, ale — ponieważ w sobotę i niedzielę prosektorium jest zamknięte — by zidentyfikować ciało,

mam przyjść dopiero w poniedziałek 7 czerwca o godzinie 8.00. Być może jest to mój syn, bo zgadza się opis ubrania; mężczyzna ma na sobie tylko białe męskie slipy, sportowe szorty i brązowe sandały.

My jednak nadal szukaliśmy Emila, ponieważ nie przyjęłam do wiadomości tej informacji. Uparcie powtarzałam: to nie może być on. Emil nie jest blondynem i nie ma 25 lat.

Przychodzi niedziela, 6 czerwca 1982. To już trzeci dzień poszukiwań Emila. Wtedy, w marcu, też szukaliśmy go trzy dni. Czuję, że w niedzielę na pewno go odnajdę, bo to dzień jego siedemnastych urodzin.

Koledzy syna wpadają na pomysł, aby zorganizować tzw. wizję lokalną. Mamy jechać nad Wisłę, do Błot — tam, gdzie ostatni raz Emil był widziany przez Huberta. Proszę go więc, aby poprowadził nas dokładnie tą samą drogą, którą szedł z Emilem 3 czerwca. Atmosfera jest napięta, chłopcy nie ufają Hubertowi. Podejrzewają, że coś ukrywa. Zadają mu podchwytliwe pytania, niektórzy są wobec niego agresywni. On jednak cały czas jest niewzruszony. Opanowany, z zimną krwią jeszcze raz wszystko opowiada, tym razem jednak jest to już trochę inna wersja wydarzeń. Zauważam spore nieścisłości. Gdy mu na nie zwracam uwagę, tłumaczy się brakiem pamięci.

Jesteśmy na miejscu. Mąż rozgląda się po tym pustkowiu i od razu nazywa to miejsce „niesamowitym uroczyskiem”. Upał jest straszny od samego rana. Z wszystkich leje się pot. Tylko Hubert jest suchuteńki, nadal spokojny, opanowany, pokazuje nam miejsce, gdzie rozłożyli koc i zasiedli do nauki. Opowiada, że Emil był dziwnie niespokojny, cały czas gdzieś biegał z psem, w końcu znalazł jakiś wielki kij i powiedział, iż chce przejść na drugą stronę Wisły. To kolejna wersja Huberta. Słyszę ją po raz pierwszy. Jestem zdziwiona, już niczego nie rozumiem.

Kilku chłopców zarzuca Hubertowi, że kłamie. Żądają, aby natychmiast powiedział prawdę. Hubert nie daje się sprowokować. *„Wolałem go, szukałem — powtarza. — Nic więcej nie mogłem zrobić. Było już późno. Zabrałem rzeczy Emila i wróciłem do domu. Myślałem, że on tam już jest.”* — *„Jak?”* — pytam zdenerwowana. — *„Jak miał dotrzeć do domu półnagi, z psem bez smyczy, bez dokumentów, bez pieniędzy, po godzinie 20.00 w stanie wojennym?”* Odpowiedział: *„Nie wiem. Może tym samochodem, który widziałem na drugim brzegu. Myślałem, że może ci ludzie go zabrali i zawieźli do domu”*.

Dopiero po południu wróciliśmy z wizji lokalnej i wieczorem w niedzielę znów spotkaliśmy się wszyscy na Wałowej. I nagle Krystyna powiedziała, że udało jej się wejść do Zakładu Medycyny Sądowej na Oczki. Była w kostnicy. Widziała ciało Emila. Jest pewna, że to on.

Jestem w szoku. Nie wierzę. Pierwsze uczucie, to żal do Krystyny, bo nie zabrała mnie ze sobą. Tłumaczy mi, że nie była pewna, czy uda jej się tam wejść. Chciała mnie przygotować na to, co mogę zobaczyć w poniedziałek. A widok jest straszny. Ciało Emila jest bardzo zmienione — spuchnięte, ogromne, pokryte ciemnymi plamami; a włosy, odbarwione przez wodę, są jasne jak słoma. Trudno jest też rozpoznać twarz Emila... Ale to on, na pewno on. Krystyna nie pozostawia mi nawet odrobiny nadziei. Płaczę. A więc wreszcie znalazłam syna. W kostnicy. I to w dniu jego siedemnastych urodzin. Tylko że to nie ja go tam pierwsza zobaczyłam, ale moja przyjaciółka, Krystyna.

Wszyscy mówią mi: bądź dzielna. Próbuję. Ale przede mną noc z niedzieli na poniedziałek. Czy będę potrafiła zasnąć? Nie potrafiłam.

W poniedziałkowy ranek, 7 czerwca, musiałam spełnić ten koszmarny obowiązek matki — musiałam zidentyfikować zwłoki syna... Wchodzę do kostnicy na Oczki i od razu rozpoznaję ciało Emila. Jest w strasznym stanie. Wygląda jak wielka, monumentalna rzeźba. Jest napuchnięte, nabrzmiałe, ogromne, chyba dwumetrowej długości. Na szyi otwarta rana, w której kłębią się białe robaki. Jestem wstrząśnięta tym widokiem. Na moich oczach robaki jedzą ciało mojego syna.

Wygląd zwłok znacznie różnił się od tego, który później widziałam na zdjęciu zrobionym przez funkcjonariusza Komisariatu Rzecznego, zaraz po wydobyciu ciała z wody. Na tamtej fotografii syn miał na szyi tylko siną pręgę i wyglądał, jakby spał na plaży. Świadczyło to o jednym. Zwłok Emila celowo nie włożono do chłodni, a ponieważ panował straszny upał, ciało zaczęło się szybko rozkładać. Wszystkie zmiany i ślady na ciele można było teraz wytłumaczyć rozkładem... W całej kostnicy, gdzie obok leżało jeszcze kilka odkrytych ciał, to były jedyne zwłoki o tak zmienionym wyglądzie. Tak jakby specjalnie poddano je obróbce termicznej, by jak najmniej nadawało się do identyfikacji.

Kazano mi podać jakieś znaki szczególne syna. Powiedziałam, że ma znamię na paznokciu, a na lewej nodze duży ciemny pieprzyk. Tak naprawdę, gdybym od razu nie rozpoznała jego krótkich szortów i białych slipek, wtedy już szarych, oraz brązowych skórzanych sandałów na nogach (otrzymał je od ojca po nieżyjącym dziadku), na pewno powiedziałabym: to nie on. Samo ciało i twarz były nie do rozpoznania. Pamiętam pierwszą myśl, która mi wtedy przeleciała przez głowę: Emil nie mógł przejść na drugą stronę Wisły, bo przecież nigdy w życiu nie wszedłby w tych sandałach do wody, bałby się je zniszczyć. Bardzo je lubił, dbał o nie...

Spodenki miał mocno pomazane jakimś smarem, który znajdował się także na slipach. Zastanawiałam się później, skąd mógł się wziąć. Hubert miał na to takie wytłumaczenie: kiedy jechali autobusem, wsiadła do niego jakaś pani z wózkiem. Emil się o niego oparł i pobrudził się o koła. Rozumiałam, że musiał ukucnąć i wtedy mogły mu się ubrudzić wierzchnie spodenki, ale jakim cudem pobrudził majtki? Na to pytanie Hubert nie umiał odpowiedzieć. Jakiś czas później w zeznaniach Huberta pojawiła się inna wersja: to chyba nie był wózek, to mógł być rower... Ale on już tego dobrze nie pamięta.

Sprawami związanymi z organizacją pogrzebu zajęła się Krystyna. Prawie we wszystkim mnie zastąpiła. 16 czerwca w kościele św. Jacka przy ulicy Freta odbyła się msza żałobna, którą odprawił dominikanin o. Krzysztof Kasznica, były kapelan AK.

W kościele byli prawie wszyscy koledzy syna. Był też dyrektor liceum, profesor Kaliński, a także większość nauczycieli. Nad grobem Emila pochylili się sztandary szkoły. Przyszli przedstawiciele Komitetu Prymasowskiego, przybyli także ci, którzy byli obecni na sali sądowej i pamiętali zeznania Emila na sprawie Tomka i Marka. Ludzie znajomi i zupełnie mi obcy wypełniali po brzegi ogromny kościół.

Na pogrzebie nikt nie widział Huberta.

Wieczorem odbyła się w naszym domu tradycyjna stypa, którą zorganizowali nasi przyjaciele. Mało z niej pamiętam, chyba byłam ciągle w szoku. Zapamiętałam jedynie wizytę u Huberta, którą złożyłam mu około godziny 22.00.

Był sam, ponieważ żona i dziecko przebywali w tym dniu w domu jego teściów. Rozmawiałam z nim w cztery oczy. Puściły mi nerwy. Do tej pory zawsze byłam w stosunku do niego grzeczna, starałam się nie być napastliwa. Teraz przyszłam i z gniewem zażądałam od niego prawdy. Zareagował jak zwykle, bardzo spokojnie. Mówił: *„A czy pani chce, by spotkał mnie taki sam los,*

jak pani syna? Ja mam żonę i dziecko. Czy pani chce, abym zapłacił życiem, jak Emil? Czy to zwróci pani syna?». Byłam bezsilna. Zapytałam jeszcze tylko: „Czy pan, panie Hubercie (tylko z nim jednym byłam na «pan», z resztą kolegów syna byłam na «ty»), ma poczucie winy?». — „Nie — odparł. — Tak jak posługiwano się Emilem, tak i mną.”

Trzy dni po śmierci syna przyszło na jego nazwisko wezwanie z sądu. Miał się stawić jako świadek na sprawę Tomka Sokolewicza i Marka Marciniaka... Skład sądu był nowy. Sprawa została przeniesiona z cywilnego sądu na Lesznie i odbyła się w gmachu przy ulicy Chałubińskiego. Sąd wojskowy miał rozstrzygnąć, czy to zeznania Emila są fałszywe, czy też rzeczywiście w śledztwie popełnili przestępstwo funkcjonariusze SB.

17 czerwca, dzień po pogrzebie, pojechałam o 8.00 rano do sądu. Byłam w żałobie, cała ubrana na czarno. Zapytałam sędziego, czy pozwoli mi zeznawać za syna, którego wczoraj pochowałam. Natychmiast wyraził zgodę. Myślę, że nie umiał mi odmówić. Zeznając, przywołałam protokół z zeznań Emila z 17 maja. Powtórzyłam wszystko, co powiedział Emil tamtego dnia, a także to, co jeszcze wiedziałam lub czego się domyślałam. Opowiedziałam o perfidii działania esbeków, o metodach stosowanych przez nich w dniach, kiedy syn czekał w Zakładzie Poprawczym na Okęciu na swoją sprawę w sądzie dla nieletnich. Siedmiu czy ośmiu wojskowych siedziało za stołem i wszyscy mieli spuszczone głowy. Żaden z tych mężczyzn nie patrzył mi w oczy.

Czułam, że już nic więcej nie mam do stracenia. Straciłam syna, widziałam, jak jedzą go robaki... Cóż więcej mogą mi zrobić? Mogą tylko mnie zabić.

Sprawę Tomka Sokolewicza skierowano do rozpatrzenia przez sąd cywilny. 24 czerwca zapadł wyrok: dwa lata w zawieszeniu. Oskarżenie Tomka zostało rozbite w puch. Marek Marciniak także dostał wyrok w zawieszeniu i obowiązek prac społecznych w ogrodach publicznych za zniszczenie pomnika Feliksa Dzierżyńskiego. Dłużej nie siedział, lecz nie wolno mu było wrócić do swojej szkoły. Maturę mógł zrobić w wieczorówce, ale szybko wzięto go do wojska. Natomiast Tomek wyszedł 25 czerwca, dziewięć dni po pogrzebie Emila.

Kilka dni po pogrzebie prokuratura podjęła dochodzenie z urzędu w sprawie okoliczności śmierci Emila — w celu ustalenia, czy było to zabójstwo, czy wypadek.

Trzy miesiące po śmierci syna, we wrześniu 1982, oboje z mężem otrzymaliśmy łaskę cudownego nawrócenia. Dzięki Krystynie pojechaliśmy do jej znajomych górali, do Małego Cichego koło Zakopanego. Poszliśmy na Wiktorówki do kaplicy Matki Bożej Jaworzyńskiej, Królowej Tatr i Podhala. Wróciliśmy stamtąd całkiem odmienieni.

W grudniu 1982 napisałam w oświadczeniu dla prokuratury, że odstępuję od dochodzenia prawdy w sprawie okoliczności śmierci syna, którego zwłoki wyłowiono z Wisły pół roku wcześniej. Oddałam tę sprawę w ręce Boga. Nie chcę już dłużej wspominać się o sprawiedliwość ludzką na tej ziemi.

*Relację nagrała i przygotowała do druku
Izabela Górnicka-Zdziech*

Ostatnie z trzech śledztw dotyczących śmierci Emila Barchańskiego zostało, jak poprzednie, umorzone w 1995 roku. (Red.)

Emil Barchański:

Nazywam się Emil Barchański. 6 czerwca 1982 skończę siedemnaście lat. 13 grudnia 1981 dla milionów Polaków był potężnym ciosem w tył głowy. Jedni, upadłszy, zostali pojmani, inni jedynie się skulili, przykucnęli i teraz próbują nadal, choć w kuckach, poruszać się do przodu. Są też tacy, którzy upadli i, choć nie zostali pojmani, trwają nadal w tej samej pozycji. Ale najsmutniejsze jest, że są też tacy, którzy zostali pojmani, ale teraz sami z ukrycia zadają takie ciosy, jakie zdążyli otrzymać wcześniej.

Ja należę do tych, którzy próbują stawiać kroki do przodu nawet w trudnej pozycji, w kuckach. Niestety, niedługo mogłem podejmować wraz z innymi te usilne próby. Wpadłem w sidła najzwyczajszego prowokatora, rzecz by można — agenta Służby Bezpieczeństwa. Przez niego lub dzięki niemu rozpocząłem tę 340-godzinną podróż, bardzo pouczającą, ale jakże okrutną i bolesną.

Szymona [Pochwalskiego] znałem już wcześniej. Był to zwykły, może mniej lub bardziej sympatyczny kumpel, z którym łączyły mnie jedynie zwykłe towarzyskie rozmowy na tzw. tematy nie zobowiązujące nikogo do niczego. Przypuszczam, że dopiero moja obecność na mszy odprawianej 28 lutego 1982 w kościele przy ulicy Krasieńskiego, mszy w intencji więzionych po 13 grudnia — internowanych i aresztowanych — oraz ich rodzin, pozwoliła Szymonowi zaufać mi i zaproponować coś, na co nie każdy w obecnej sytuacji by się zgodził.

Chodziło o druk; powielanie, jak się później dowiedziałem, broszury Adama Michnika. Miało mi to dać nie tylko możliwość poznania ludzi, których zawsze chciałem poznać, ale także możliwość przeczytania czegoś, co — jak przypuszczałem — na pewno mnie zainteresuje. Cztery dni pracy w pełnej konspiracji i odizolowaniu miało mi przynieść 4000 złotych.

Zabezpieczając się odpowiednio i uprzedzając rodziców, udałem się z Szymonem następnego dnia, to jest 1 marca

1982, na umówione wcześniej spotkanie. Do mieszkania, w którym mieliśmy pracować, zaprowadził nas człowiek znany wcześniej Szymonowi. Tam czekał inny mężczyzna. Przedstawił się jako Andrzej. Jego Szymon znał bardzo krótko [...].

W mieszkaniu leżały przygotowane wcześniej: papier, farba, matryce i wszystko to, co potrzebne jest do druku. Po krótkim omówieniu szczegółów pracy i ogólnych zasad, którymi mieliśmy się kierować przy powielaniu, a także warunków, na jakich mieliśmy się tym zajmować, obaj panowie wyszli z mieszkania, zabierając klucze.

Pracowaliśmy prawie non stop z krótkimi przerwami na papierosa, jedzenie i sen. Mieliśmy skończyć do czwartku 4 marca.

Mimo ciężkiej harówki, zarówno jakość, jak i ilość naszej pracy nie były zadowalające. Ostatni raz Andrzej przyszedł w środę około godziny 11.00. Wpadł na chwilę, po czym zaraz wyszedł. Wiedzieliśmy, że się nie wyrobimy do czwartku, on zapewnił nas,

że to nic nie szkodzi, a ponieważ w czwartek wraca właścicielka, przeniesiemy się do innego mieszkania, gdzie skończymy powielanie.

Po upływie około dwóch godzin, gdy ja po trzygodzinnym śnie przygotowywałem się do roboty, a Szymon właśnie wyszedł do łazienki, usłyszałem potężny, tępy odgłos uderzenia. Powtórzyło się to dwa razy. Upewniwszy się, że to ktoś dobija się do drzwi, po sekundzie wahania, a właściwie bez żadnego wahania dostałem się na balkon. Tak jak stałem, zacząłem przeskakiwać z balkonu na balkon, wciąż jednak na tym samym poziomie. Na którymś z nich przykucnąłem, trzęsąc się cały, mniej z zimna, a bardziej ze strachu.

Nie byłem jednak do końca pewien, czy moje przypuszczenia są prawdziwe. Może to tylko psychoza... Może mi się tylko zdawało. W głowie mi się nie mieściło, iż to możliwe, nigdy nie zastanawiałem się nad tym, że i ja mogę wpaść, że i mnie dostaną kiedyś w swoje łapy. Niesamowita pogoń myśli, bałagan umysłu nie pozwalały mi na ocenę sytuacji i szans kontynuowania ucieczki. Te kilka minut wydało mi się bardzo długie. Trzeba było coś zrobić — czy jest sens schodzenia balkonami w dół? A jeśli dom jest otoczony? Trzeba zobaczyć.

Wychyliłem się przez barierkę, zerknąłem na tamten balkon i wtedy... *„Jest, mam go! — Wracaj, bo zastrzelę jak psa! — Wracaj albo skacz!”* Pistolet gotowy do strzału, przerażający krzyk, okrutne oczy, zdeterminowana twarz. *„Jedna sztuczka i jesteś na dole. Wracaj!”*

Zacząłem wracać, nie powiem, że ufnie, ale na pewno nieświadomie. Coś jakby mnie rewidowali, ale to był ułamek sekundy: *„Przy sobie nie ma”*. Miałem wrażenie, jakbym latał między ścianami. Wszystko w ruchu, ból chwilami był tak ciągły, że następne ciosy były prawie nieodczuwalne.

Rzucili mnie na ścianę, potem tapczan, regał, jakieś twarde podłoże — podłoga, chwila stabilności, mój wzrok zaczął rejestrować konkretne obrazy, nieruchome. Trudno powiedzieć, że się rozglądałem, ale w każdym razie starałem się zobaczyć, gdzie Szymon. Leżał tak samo, jak ja — na brzuchu, nogi rozkraczone do maksimum wytrzymałości, piekący ból w kroku; to tak, jakby skóra pękała. Ręce początkowo na ziemi, otwarte dłonie.

Słyszę, że ktoś coś mi mówi. Każe coś zrobić, ale nic nie mogę zrozumieć. Wtedy zobaczyłem ciężki but na swojej ręce. Zobaczyłem ból. Ja nadal nie rozumiem, o co mu chodzi, but przechodzi na policzek i to samo ugniatanie: *„Na kark łapy!”*. Zaplotłem dłonie na karku, spojrzałem na Szymona, on nadal leży, ręce ma już na karku, wtedy czub innego buta uderza z piekielną siłą w jego żebra. Odgłosu, jaki wydał Szymon, nie można nazwać krzykiem ani jękiem — to po prostu ból, ten dźwięk jakby wyszedł z żołądka, z samych płuc. *„Kto tu przychodzi? Mów, bo jak ... w jaja, to się już nie podniesiesz!”* Wtedy nie ból, a coś, na co nie ma wystarczająco mocnego słowa, poczułem w kroku, gdzieś z głębi moich wnętrzności wydobył się charkot, który niemal wypłułem z gorącą, gęstą i lepką śliną.

Potężny cios w kręgosłup, taki sam, jaki otrzymałem zaraz po tym, jak znalazłem się na podłodze. Nie wydałem żadnego dźwięku, bo już żadnego w sobie nie miałem. Czuję się jak wbijany w ziemię, wygięty do granic wytrzymałości mojego kręgosłupa. Musiałem zmienić pozycję choć na chwilę. Krzyknąłem, że powiem, iż przychodził tu taki jeden... Pozwolili mi usiąść. Powiedziałem o Marku, chciałem dać znać w jakiś sposób Szymonowi, co będę mówić. [...] Przez tę chwilę mogłem zobaczyć coś więcej niż buty i podłogę.

Robili zdjęcia, oczywiście rewizję, nie zdążyłem się dobrze rozejrzeć, z powrotem rzucili mnie na podłogę. Jakby dopiero wtedy do mnie dotarło, że są po cywilnemu, że nie było tam ani jednego mundurowego, chyba że mundurami można by nazwać wyprasowane garnitury z szerokimi, chamskimi krawatami. Na twarze nie patrzyłem, bałem się, po prostu nie wiedziałem, czy wolno, czy za takie spojrzenie nie zaczną znów kopać.

Gdy okazało się, że jestem młodszy od Szymona, wzięli mnie pierwszego. Wstałem, któryś z tyłu kopnął mnie w krzyż, poleciałem trochę do przodu. *„Łapy!”*, związali mnie jakimś paskiem. *„Niech weźmie sweter!”* — *„Po co mu sweter?”* — śmiech. *„Słuchaj — nie usłyszałem imienia — on jest twój, to twoja własność, zrób z nim coś, ale żeby dojechał tam do nas.”* Na twarzy adresata tych słów grymas, który miał być uśmiechem.

Przyjrzałem się temu człowiekowi. To ten sam, który zauważył mnie na balkonie. Około 25 lat, wysoki, dobrze zbudowany. Miał na sobie ogrodniczki ze zwężanymi nogawkami, tzw. pumpy, włosy zaczesane do tyłu, przerzedzona bródka — po prostu człowiek, którego gdybym spotkał wcześniej, uznałbym za jakiegoś „hybrydowca”, dyskotekowego chłopca... A był to funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa. Podobnie zresztą jak pozostali.

W towarzystwie jeszcze jakichś dwóch wyprowadzili mnie do windy. Przy windzie stała kobieta z jakimś starszym mężczyzną. To mieli być niby ci, którzy nas wydali, jacyś sąsiedzi. Dałem się nabrać. Wepchnęli mnie do windy.

W windzie było ciemno, mało widziałem; czułem i słyszałem tylko: *„Teraz czekają ciebie takie niespodzianki. Cały czas. Wiesz za co? Za to, że uciekałeś”*. Dostawałem ciosy w żołądek, a gdy się kulilem, w kark. Kilka razy z otwartej dłoni bił mnie po twarzy i po głowie.

Wysiedliśmy z windy. Szedł trochę z przodu, moje związane ręce trzymał pod pachą; *„Bo po co ludzi denerwować...”*. A ludzie swoje i tak widzieli — byłem cały w farbie drukarskiej, a przed domem stał milicyjny radiowóz, nysa. Lecz nie do niej wsiadłem, tylko do drugiego samochodu. Był to gazik wojskowy. Wepchnął mnie do środka, na tylne siedzenie, usiadł obok mnie. Ruszyliśmy.

Przez całą drogę spotykały mnie różne „niespodzianki”. Wtedy najczęściej byłem bity po twarzy i żebrach. Gdy przejeżdżaliśmy koło przystanku lub blisko krawężnika, miałem spokój, ale w tunelu Trasy WZ pod placem Zamkowym ani chwili spokoju nie dał. Bił seryjnie, bez przerwy, to była jedna długa „niespodzianka”. Każdy cios to ból. Znienacka, pojedyncze uderzenia bołą bardziej od ciągłego bicia, kiedy po chwili niczego się już fizycznie nie czuje, bo wtedy górują udręka i ból psychiczny. Oczy szczypią, tępy ból głowy, ciemno przed oczami, uczucie golizny, nie ma skóry, są tylko nerwy, chłód i uciążliwy ból w karku pod ogromnym ciężarem głowy.

Nie wiedziałem, gdzie jedziemy, nie zastanawiałem się nad tym. Wiadomo, nie do domu... Skracamy w Nowotki. Już wiem — to Pałac Mostowskich. Wjeżdżamy na podwórze. Długie korytarze, co metr — drzwi. Klosz wiszący na ścianie informuje: *„Nie wchodzić. Przesłuchanie”*. Przy końcu korytarza jakaś wnęka, w niej drzwi. Pierwszy pokój... W drugim pod wpływem silnego kopnięcia osuwam się wzdłuż ściany na podłogę.

Przedemną stoi sześciu drabów, każdy pod krawatem, łapy jak moja twarz, metr osiemdziesiąt wzrostu... „*Uciekał, skurwiel!*” — „*A to ... jego mać!*” Bili, jak popadło. Każdy z nich chciał uderzyć, kopali, bili po twarzy, w żołądek. Ciągłe obelgi, obrażali wszystko, co mogło być dla mnie ważne. W śmiechu któryś wpadał w szal i bił, aż upadnę. W twarz nie kopali, bo „*to zostawia ślady*”.

Potem do następnego pokoju. Tu miało się rozpocząć właściwe przesłuchanie. Upadałem często. Bili inni, ale za to samo... Za to, że mam szesnaście lat, za to, że jestem chudy „*jak szkapa oświęcimska*”, że uciekałem i wreszcie za to, że jestem za grzeczny, czyli jednym słowem — „*gdybym mógł, to powiesiłbym ich wszystkich wraz z całymi rodzinami*”. Bili też za to, że robię bałagan w pokoju, w którym oni pracują, że ściągam dywan... Bili, bo chcieli.

Po jakiejś godzinie zaczęło się „normalne” przesłuchanie z bardziej metodycznym biciem. W pokoju wciąż siedziało czterech, pilnowali okna, a raczej szyb. Zadawali pytania, lecz wcale nie oczekiwali odpowiedzi. Mimo że starałem się natychmiast odpowiedzieć, otrzymywałem ciosy. Popełniałem błędy, nie miałem żadnej wersji. Bili i pytali. Cały przebieg przesłuchania, wraz ze szczegółami dotyczącymi ich metod, sposobów, blefów, zapiszę osobno. Cały czas straszili i blefowali.

Do bardzo metodycznych sposobów bicia należy pałowanie po piętach. [...] Wkładali palce między drzwi. Straszili włożeniem jąder w szufladę; borowaniem zęba — lecz nie tak, jak stomatolog, lecz tuż przy nerwie przednich zębów; łamaniem rąk i jakąś „japońską metodą”, o której wiem mało, ale brzmiało to groźnie. Być może blef... Bili pałką po dłoniach i kolanach, straszili zgaszeniem papierosa na powiece...

Trudno mi to wszystko wypisywać, bo wiem, że to „nieprawdopodobne” i boję się, że gdybym zaczął wylizywać to, czym straszili lub to, co wobec mnie zastosowali, to wtedy po prostu by mi nie uwierzono, bo ja sam też bym nie uwierzył.

Relacja spisana w marcu 1982 — jedyny
ocalały fragment wspomnień Emila
Barchańskiego *Od grudnia do maja*